TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STR., CHICAGO ILL.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie.. $1.00.
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii........ $1.50.

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JE... IE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 12. Chicago, Ill., Czwartek, 24-go Marca, 1898. Rok XII.

Książę Srebrny.

POWIEŚĆ Z CZASÓW IWANA GROŹNEGO

HR. TOŁSTOJA.

(Z rosyjskiego przełożył W. Grajnert).

(Ciąg dalszy).

— Coście się bracia, szaleju nażarli, czy co? — krzyknął. — Po co gardło drzecie? Poprowadzi was książę dokąd chcecie, poprowadzi o świcie, a teraz dajcie się wyspać jego miłości i sami się połóżcie, już dość pijatyki.

— A ty co nam rozkazujesz! — krzyknął któryś — czyś ty jest naszym atamanem?

— Słyszycie chłopcy — huknęli drudzy — nie chce żeby kniaź nam atamanił.

— To na osinę go!

— Na osinę! na osinę!

Pierścień rzucił wzrokiem do koła i wszędzie napotkał złowrogie twarze.

— Ah wy durnie, durnie! — rzekł — czyż ja się tak proszę, aby być waszym atamanem? Wybierzcie se kogo chcecie, a ja kpię z was!

— Dobrze! — krzyknął głos.

— Dobrze mówi! — dodał drugi.

A Pierścień ciągnął dalej:

— Kpię z was, bo to mało jest takich jak wy? Wielki mi zaszczyt być waszym atamanem! Zechcę — pójdę na Wołgę i nie takich będę miał!

— Nie, bratku, od siebie nie puścimy, jeszcze nas sprzedasz, jakeś dziadzia sprzedał!

— Nie puścimy, nie puścimy! Zostaniesz się z nami! Słuchaj naszego atamana!

Dzikie okrzyki zagłuszyły mowę Pier-

ścienia.

Rozbójnik ogromnego wzrostu podszedł do Srebrnego z czarką w ręku.

— Batku — rzekł, uderzywszy go szeroką łapą po ramieniu — jesteś teraz naszym bratem, wypijemy razem i damy sobie pyska!

Bóg wie coby zrobił Srebrny. Być może wytrąciłby czarkę rozbójnikowi i rozerwała by go na kawałki pijana rzesza, ale na szczęście nowe krzyki zwróciły całą opryszków uwagę na co innego:

— Oprycznika prowadzą! patrzcie! opricznik!

Z za drzew pokazało się kilku chłopów w porwanem ubraniu i z maczugami. Prowadzili ze sobą związanego Maksyma; rozbójnik, którego ten ciął szablą, jechał na jego koniu. Przodował Chłopka przygwizdując i pośpiewując; raniony Bujan wlókł się z tyłu.

— Hej, bracia! — śpiewał Chłopka, klaskając w ręce:

„Goście wjechali na dwór do wdowy,
I toporkami rąbali głowy!"

I Chłopka padł na wznak, bił w dłonie i kręcił się dokoła, co widząc rudy pieśniarz nie wytrzymał, chwycił bałabajkę i w prysiudach zaczął pomagać towarzyszowi.

Obaj tańczyli kozaczka przed Maksymem.

— Widzisz, jakie djabły — rzekł Pierścień do Srebrnego. — Oprycznika odrazu nie utłuką, wprzódy wymęczą; tych dwóch już ja znam, niechno się tylko dobiorą, biedak dostanie za swoje!

I rzeczywiście — schwycenie oprycznika było dla całej szajki uroczystem świętem. Gotowi byli Maksymowi odpłacić za wszystko, co ucierpieli od jego towarzyszy.

Kilku zbójców, o zwierzęcych twarzach, zajęło się przygotowaniem tortur. Wbiwszy w ziemię cztery koły, przymocowali do nich poprzeczne żerdzie, z sterczącemi gwoździami.

Maksym patrzył na wszystko spokojnem okiem. Nie strach było mu umierać w mękach — smutno było umierać bez miecza w dłoni, ze związanemi rękoma, i nie słyszeć w ostatniej chwili ni wojennego okrzyku, ni rżenia koni, jeno dzikie pieśni i pijany śmiech dręczycieli. — Nie o takiej marzyłem śmierci — westchnął — niech się dzieje wola Boża!

Tu Maksym dostrzegł Srebrnego, poznał go i chciał podejść k'niemu, ale rudy pieśniarz schwycił go za kołnierz.

— Pościel gotowa — rzekł — zdejmuj kaftan i kładź się.

— Rozwiążcie mi ręce — odpowiedział Maksym — chcę się przeżegnać.

Chłopka chlastnął nożem po sznurach, któremi były skrępowane ręce Maksyma.

— Żegnaj się, tylko prędko — rzekł, a gdy ten już się pomodlił, Chłopka i rudy zerwali zeń ubranie i zaczęli przewiązywać ręce i nogi jego do żerdzi.

Na to wystąpił Srebrny.

— Chłopcy — ozwał się rozkazującym tonem — słuchać!

Wszystko od razu ucichło, wszystko natężyło uwagę: co dalej będzie? Kniaź zaś po chwili tak mówił:

— Czy wszyscy żądacie, żebym był waszym atamanem? Może są i tacy, co mnie nie chcą?

— Ehe! — krzyknął któryś — nie rozumiesz, czy co?

— Słuchaj, ty z nami nie igraj!

— Chcą, żebyś atamanił, atamań!

— Namyśl się, pókiś cały!

— To podajcieżże mi atamański czekan — rzekł Srebrny.

— Hurra-ha — krzyknęli rozbójnicy.

Kniaziowi podano topór.

Nikita Romanowicz podszedł prosto do rudego pieśniarza.

— Odwięzuj oprycznika — rozkazał.

— Rudy spojrzał nań ze zdziwieniem.

— Rozwiązuj natychmiast — powtórzył Srebrny.

— Co-o? widzisz go, jaki-mi! za kim to się ujmuje! Patrz sam, czy ci na karku dobrze siedzi głowa?

— Opętańcze! słuchaj jak rozkazuję — huknął kniaź. I wywinąwszy czekanem rozpłatał mu czerep.

Rudy padł ani pisknął.

Głuchy szmer rozległ się pomiędzy opryczników. Kniaź nie dał im się ocucić z pierwszego wrażenia.

— Ty odwiązuj! — zagrzmiał znowu,

zamierzając się młotem na Chłopkę.

Chłopka też w mgnieniu oka uwolnił Maksyma.

— Chłopcy — ciągnął dalej Nikita Romanowicz — jeniec wasz tak samo jest przyjacielem oprycznictwa, jak i my. Niech Bóg was uchowa, abyście mieli go choć palcem tknąć. A teraz nie ma co marudzić, bierzcie broń, ja was prowadzę.

Stanowczy głos i rozkazująca postawa Srebrnego, nadzwyczaj podziałały na opryszków.

— Ehe! — mruknął któryś pod nosem — ten, bratku, nie żartuje.

— To mi ataman! — mówili inni.

— Z nim nie igraj! Widzisz, jak ci rudego dziabnął!

Tak to rozmawiali między sobą rozbójnicy, i żadnemu już nie przyszło do głowy klepać Srebrnego po ramieniu, lub się z nim całować.

— Bóg ci zapłać, książę — szepnął Pierścień, z uszanowaniem patrząc na Nikitę Romanowicza — dobrześ ich przycisnął. Nie daj im tylko czasu do namysłu, prowadź ich drogą ku Słobodzie... a potem co Bóg da!...

Trudnem było położenie Srebrnego. Przyjąwszy dowództwo, uratował Maksyma i wygrał na czasie, ale wszystko byłoby znów straconem, gdyby nie chciał prowadzić bujnej szajki. Książę zwrócił się w myśli do Boga i polecił się Jego opiece.

Już zbóje szykowali się do wymarszu, czekali jeno na jakiegoś Fedkę Poddubnego, który z rana wyszedł ze swym oddziałem i jeszcze nie wrócił.

— Oto i Fedka — ozwał się ktoś — zjawił się nareszcie z chłopcami.

Poddubnyj był to suchy chłop, zyzowaty na jedno oko, i z wieloma szramami na twarzy.

Żupan miał porozrywany. Szedł z ledwością zginając kolana, jakby już nad siły strudzony.

— Jakże tam? — spytał jeden opryszek.

— Ja myślę, żeś znów oberwał — dodał drugi.

— Oberwał, ale nie ja — rzekł Poddubnyj, siadając koło ognia. — Dużo, moi braciszkowie, leżało grzechów na mej duszy, a dziś, zdaje mi się, połowa ubyła.

— A bo co?

Poddubnyj zwrócił się do swego oddziału.

— Dajcie no tu heretyka, chłopcy!

Do ogniska przyprowadzono związanego jeńca w kraciatym kaftanie. Na ogromnej głowie stercza mu wysoka czapka z wygiętemi brzegami. Spłaszczony nos, wystające szczęki, wązkie oczy, świadczyły o nierosyjskiem jego pochodzeniu.

Któryś z towarzyszy Poddubnego przyniósł pikę, łuk i kołczan odebrane więźniowi.

— A toć to Tatarzyn! — krzyknęli rozbójnicy.

— Tatarzyn, Tatarzyn, Tatarzyn! — powtórzył Poddubnyj — ale jeszcze jaki! Ledwieśmy mu podołali, gdyby nie Mitka, nie byłoby go teraz tutaj.

— Opowiedz no jakto? opowiedz! — krzyknęli znów opryszkowie.

— Hano dobrze, bracia, poszliśmy z rana drogą Riazańską, napotykamy kupca i dalej do niego! a on nam mówi: nie mam nic bracia przy sobie; ja, mówi, jadę z Riazanu, tam całą drogę Tatarzy obsadzili, do nitki mnie obrali, nie mam nawet za co się do Moskwy dowlec.

— Oho! jakie zbójniki! — ozwał się jeden z szajki.

— A co zrobiliście z kupcem? — spytał drugi.

— Dało mu się grzywnę na drogę i puściło, a sami dalej! Napotykamy zaraz chłopa, a ten nam mówi: — na wsie Tatary napadają i palą chałupy, patrzcie hen tam! — Patrzymy — i widzimy tabun najmniej tak z tysiąc koni, ztamtąd znów idą chłopi z babami i dziećmi; idą i krzyczą i narzekają: I nasze sioło spalili Tatary, cerkiew ograbili, porąbali św. obrazy, z ryz porobili czapraki!

— Ach, opętańcy! — odgrozili opryszkowie — że też tych przeklętników ziemia jeszcze trzyma!

— Popa — mówił dalej Poddubnyj — do końskiego ogona przywiązali.

— Popa? a że też tych psich synów piorun nie utrzasł!

— A Bóg wie, dla czego nie utrzasł.

— Boż to u nas rąk nie ma na Tatara?

— Juści że nie ma, rąk mało! pułki rozpuszczone, zostali jeno chłopi i baby i starcy, a bisurmanom w to graj! nie ma wojska — nie ma komu ich przetrzepać!

— Eh, dałbym ja im!

— Aj! dałbym i ja!

— A jakże to złapaliście tego łotra?

— A jak: Słyszymy koński tupot na drodze, ja mówię do chłopców: schowajmy się, mówię za krzaki, zobaczymy, kogo tam Bóg prowadzi? Zaczailiśmy się tedy i widzimy: pędzi ze trzydziestu jeźdźców, w takich zupełnie czapkach, z pikami, z kołczanami, z łukami. Bracia, mówię, dobra gratka! szkoda tylko, że nas mało, możnaby się zabawić. Nagle jednemu jakiś worek odgrywa się od siodła i pada na ziemię. Jeździec się zatrzymuje, złazi z konia i dalejże do worka: podnosi go i pakuje na siodło — a towarzysze przez ten czas odjechali już daleko. Chłopcy, mówię, a możeby tak na niego? no jazda! dalej go razem! I puściliśmy się na Tatarzyna. Ale on, bestyja, jak nie trząśnie ramionami — wszystkich nas zrzucił. My znów na niego — on znów zrzucił, i bierze się za pikę. Aż tu włazi Mitka: odstąpcie, mówi, nie przeszkadzajcie! My się rozsuwamy, a on łapas Tatarzynowi pikę i Tatarzyna gnie do ziemi; a my mu zaraz rękawicę w gębę i... związaliśmy jak barana.

— Zuch Mitka! — powiedzieli rozbójnicy.

— O ta bestya, choćby za rogi, kropnie o ziemię!

— Hej Mitka, byka byś powalił?

— A bo co? — odrzekł Mitka, i odszedł w bok, nie chcąc dalej rozmawić.

— A cóż było w worku u Tatarzyna? — spytał Chłopka.

— Patrzcie, chłopcy!

Tu Poddubnyj rozwiązał worek i wyjął kawałek komży, piękne cyboryum i złoty krzyż.

— O, pies! — krzyknęli wszyscy — to on cerkiew ograbił!

Dla Srebrnego bardzo był w porę gniew rozbójników.

— Chłopcy — rzekł — widzicie, jak przeklęte Tatary znęcają się nad wiarą Chrystusa! widzicie, jak Basurmańskie plemię zaległo naszą Ruś! Czyż pozwolimy znieważać święte obrazy? Czyż pozwolimy żeby heretyk palił nasze sioła i wyrzynał naszych braci?!

Głuchy szmer przeleciał między opryszkami.

— Chłopcy — mówił dalej Nikita Romanowicz — któż z nas nie jest grzesznym przed Bogiem? Odkupmyż teraz swoje grzechy i otrzymajmy przebaczenie boskie! Wszyscy, jak tu jesteśmy, uderzmy na wrogów cerkwi i ziemi rosyjskiej!

Tknęły opryszków słowa Srebrnego. Niejedno zatwardziałe serce zadrgało znowu miłością ojczyzny. Starzy rozbójnicy kiwnęli głową, popatrzyli jeden na drugiego. Głośne okrzyki zagłuszyły ogólną rozmowę.

— A tak — powiedział jakiś opryszek — przecież nie można zezwolić na znieważenie domów bożych.

— To się wie, że nie — powtórzył drugi.

— Czy tak, czy owak, to nas śmierć nie minie — dodał trzeci — lepiej umrzeć na polu, niż na szubienicy.

— Oj prawda! a bo to źle na polu umierać? — rzekł stary rozbójnik.

— Źle — nie źle! — krzyknął młody zawadyjaka i wystąpił naprzód — nie wiem jak inni, ja bo tam idę na Tatara!

— I ja idę! i ja! i ja! — rozległo się zewsząd.

— Mówią — ciągnął dalej Srebrny — żeście zapomnieli o Bogu, i że nie macie ni sumienia ni duszy. Pokażcież teraz, że kłamią ludzie, że macie i duszę i sumienie. Pokażcie, że, kiedy trzeba ująć się za wiarę i św. Ruś, i wy ujmiecie się niegorzej od opryczniectwa.

— Ujmiemy! Ujmiemy! — huknęli wszyscy rozbójnicy, jakoby jeden głos.

— Nie damy poganom bezcześcić św. Rusi!

— Uderzymy na heretyków!

— Prowadź nas na Tatara!

— Prowadź, prowadź! Staniemy za św. wiarę!

— Chłopcy — rzekł kniaź — jeśli pobijemy pogan, i car zobaczy, że niegorsi jesteśmy od oprycznikow, daruje nam winy

powie: nie potrzeba mi opryczniotwa, kiedy i bez niego mam dobre sługi.

— Niech tylko powie — kładziemy swoje głowy.

— Nie dla przyjemności zostałem opryszkiem — ozwał się jeden.

— A ja? – podchwycił drugi.

— Legnijmyż za ojczyznę, kiedy trzeba! — rzekł książę.

— Legniemy! — zawtórowali rozbójnicy.

— Co, chłopcy — mówił dalej Srebrny — kiedy mamy bić wrogów ruskiej ziemi, trzebaż wypić za cara ruskiego!

— Pijmyż!

— Bierzcie czarki, i mnie czarę dajcie!

Księciu przynieśli wazę; wszyscy rozbójnicy nalali sobie czarki.

— Niech żyje wielki car nasz i całej Rosyi, Iwan Wasiliewicz — rzekł Srebrny.

— Niech żyje car! — powtórzyli opryszkowie.

— Niech żyje ruska ziemia!

— Niech żyje ruska ziemia!

— Niech zginą nieprzyjacioły św. Rusi i prawosławnej Chrystusowej wiary!

— Niech ginie Tatar! niech giną wrogi!

— Prowadź nas na Tatara! gdzie są Basurmani, co palą cerkwie!

— Prowaź nas, prowadź! — grzmiało do koła.

— W ogień Tatarzyna! — krzyknął któryś.

— W ogień go! w płomienie! — powtórzyli drudzy.

— Poczekajcie chłopcy — wdał się Srebrny — trzeba się wprzódy wypytać. Odpowiadaj — rzekł, zwracając się do jeńca — ilu was? gdzie stoicie obozem?

Tatarzyn udał, że nie rozumie.

— Poczekaj, kniaziu — wtrącił Poddubnyj — my mu gębę rozwiążemy. Dajno, Chłopka, ognia... dobrze... No cóż, będziesz mówił?

— Będę, baczka — krzyknął oparzony Tatarzyn.

— Dużo was?

— Dużo, baczka, dużo.

— Ilu?

— Dziesięć tysięcy, baczka teraz dziesięć tysięcy, a jutro przeszło sto tysięcy.

— To znaczy, nie wszyscy tutaj jeście? kto was prowadził?

— Chan prowadził.

— Sam chan?

— Nie sam; chan przyjdzie jutro, teraz przyszedł szyryński kniaź, Szachmat.

— Gdzie jego obóz?

Tatarzyn znów pokazał na migi, że nie rozumie.

— Hej, Chłopka, ognia! — zakrzyknął Poddubnyj.

— Blizko, baczka, blizko — pospieszył z odpowiedzią jeniec.

— Pokazuj drogę! — rzekł Srebrny.

— Nie można, baczka! Nie można teraz widzieć drogi; jutro można baczka.

Poddubnyj przyłożył gorącą głownię do związanych rąk Tatarzyna.

— Znajdziesz drogę?

— Znalazłem, baczka, znalazłem.

— Dobrze — ozwał się Srebrny — teraz bracia pokrzepcie się maluczko, a i Tatarzynowi dajcie podjeść, bo zaraz marsz w drogę! Pokażemy nieprzyjaciołom, co znaczy ruska siła.

XXV.

Przygotowanie do bitwy.

W bandzie powstało takie zamięszanie, ruch i krzyk, że Maksym nie zdołał nawet podziękować Srebrnemu. Gdy w końcu opryszkowie uszykowali się i ruszyli lasem, syn Maluty, któremu zwrócono konia i dano broń, podjechał do księcia.

— Nikito Romanowiczu — rzekł — odpłaciłeś mi dzisiaj za niedźwiedzia!

— Ha, Maksymie Grygoryiczu, — odparł Srebrny — na to żyjemy na świecie, abyśmy sobie pomagali wzajemnie.

— Książę — wtrącił Pierścień, jadący tuż koło Srebrnego — patrzałem na ciebie i myślałem: eh, szkoda, że nie widzi go jeden zuch, którego zostawiłem na Wołdze! Chociaż on niewielkiego rodu, równy prawie mnie ale pokochałbyś go kniaziu, i onby cię pokochał! Bez urazy, ale podobnym jesteś do niego z charakteru. Jakeś zaczął o św. Rusi i zaiskrzyły ci się oczy, to zaraz przypomniałem sobie Jermaka Timofei-

cza. Kocha on ojczyznę, oj kocha! to nic, że rozbójnik. Nieraz mi mówił, że wstyd mu tak darmo żyć na świecie, chciałby coś dla ojczyzny pożytecznego uczynić. Eh, gdyby go teraz na Tatara puścić! on jeden wart stu innych. Jak krzyknie: za mną chłopcy! toć się zdaje, że sam jesteś jakimś większym i silniejszym, i nic ci się nie stoi, wszystko musi ustąpić — wszystko się wali koło ciebie. Oj podobnym jesteś do niego. Nikito Romanowiczu, żeby ci tak bez obrazy powiedzieć!

Pierścień wpadł w zadumę, Srebrny jechał z natężoną uwagą, wpatrując się w ciemną przestrzeń. Maksym milczał. Dziwnie dźwięczały kroki opryszków wśród sędziwego boru. Gwiaździsta noc rozpostarła się nad śpiącą ziemią, a banda szła wciąż w kierunku wskazanym przez Tatarzyna, którego pod szablą prowadzili Chłopka i Poddubnyj.

Nagle ciszę przerwały jakieś niezwykłe, miarowe dźwięki: ni to głos ludzki, ni to róg, ni to gęśle, jeno coś niby szum wiatru w trzcinie, jeśliby ta trzcina mogła dzwonić jako szkło, lub brzęczeć jak struny.

Nikita Romanowicz wstrzymał konia.

— Co to? — spytał.

Pierścień zdjął czapkę i schylił głowę prawie do samego brzucha końskiego.

— Poczekaj, kniaziu -- pozwól się przysłuchać.

Dźwięki płynęły dalej, to cicho i płaczliwie, to znów rozlewały się na srebrzyste, miłe smugi, to huczały jak szmer liści, co je wiatr poranny porusza, i nagle ucichły jakoby przez step porwane.

— Skończył! — rzekł śmiejąc się Pierścień — ale pierś też ma dobrą, bo dobrą! z półgodziny bestyja dmuchał bez ustanku!

— Więc co to? — spytał znów książę.

— Czebuzga! — odpowiedział Pierścień. — Zastępuje im nasz rożek. Widać, że są to Baszkiry, przecieć z chanem różni nadciągnęli, i Kazańscy i Astrachańscy i rozmaite nohajskie plemiona. Słyszysz, znów zaczęli wygrywać: i do uszu opryszków doszły znowu długie, smutne i przyjemne tony, które po chwili nagle umilkły.

— Aha! — rzekł Pierścień — teraz już nie tak długo, widać, se pierś naderwał psi syn.

I znów rozległy się nowe dźwięki, daleko głośniejsze: niby ciągłe jęczenie wielu dzwonów.

— Oho, teraz gardłem — mruknął Pierścień — widzisz, jak sobie podochocili, psie dzieci!

Smutne i płaczliwe tony przechodziły w radosne, ale nie była to ni ruska tęsknota ni ruska wesołość. W onych tonach odbijała się dzika wielkość koczującego plemienia, i bohaterskie napady, i włóczenie się narodów z kraju do kraju, i tęsknota za niewiadomą, pierwszą ojczyzną.

— Kniaziu — rzekł Pierścień — obóz tatarski musi być blizko, ja myślę, że za tym pagórkiem ujrzymy nawet ogniska. Pozwól, że pójdę na zwiady, dla mnie to rzecz zwyczajna, ja ich dosyć za Wołgą spotykałem. A ty przez ten czas możebyś dał chłopcom wypocząć i przygotować się do bitwy.

— Niech cię Bóg prowadzi — powiedział kniaź, i Pierścień, zeskoczywszy z konia, zniknął w ciemności.

Rozbójnicy wytchnęli, obejrzeli broń i siedli na ziemię w nienaruszonym, bojowym szyku. Głębokie milczenie panowało w szajce. Wszyscy rozumieli w jak niebezpieczną grę puścił się Pierścień, i czuli jak ważnem jest bezwarunkowe posłuszeństwo. Dźwięki czebuzgi płynęły jak przedtem; księżyc i gwiazdy oświetlały pole, wszystko miało w sobie coś uroczego; wszystko było cicho, jeno lekki podmuch wiatru poruszał kiedy niekiedy trawę stepową, jakoby smugi srebrzyste.

Już przeszło godzina minęła w oczekiwaniu, a Pierścień nie wracał. Książę zaczynał już tracić cierpliwość, gdy nagle, o trzy kroki od niego, podniósł się ktoś z trawy. Nikita Romanowicz chwycił za szablę.

— Cicho, kniaziu, to ja! — rzekł uśmiechnięty Pierścień — tak też podczołgnąłem się i pod Tatarów! wszystkom wypatrzył; znam ich obóz jak swoich pięć palcy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

HISTORYA

— O —

RYCERSKIM OWCZARKU

PRZEZ

JANA KUPCA.

Pewien ojciec miał syna jedynaka, którego nad życie kochał, któremu we wszystkiem dogadzał i co tylko chłopiec zażądał, dawał. Nieraz gdy strudzony całodzienną pracą powracał wieczorem do domu, to pierwsze jego zapytanie było o Jasia: co porabia, czy mu się jeść nie chce i czy go czasem matka nie biła. Mały chłopczyk, ośmielony pieszczotami ojca, a co gorsza, jak to mówią, rozklepany, różne przygody i przykrości dzienne, nieraz zmyślone, ojcu opowiadał, lub się skarżył na domowników, a nawet i na mamę, że go niesłusznie łajała, a stary ojciec, wysłuchawszy tych skarg, ostro przyganiał wszystkim takie z Jaśkiem obejście się. Gdy zaś nazajutrz do roboty odchodził, tedy mówił tak do żony, jak i czeladzi: dajcie Jasiowi pokój, niech się bawi, jak mu się podoba, bo to jego czas. Ale o nauce, o książce dla Jasia ani pomyślał; to też chłopiec różne psoty wyrządzał, najprzód dzieciom sąsiadów, a gdy trochę podrósł, to i starszym nieraz szkodę wyrządzał.

Tak rósł aż do czternastego roku, ale im większym był, tem bardziej dokuczał, a najbardziej własnym rodzicom.

Z początku ojciec przymawiał, łajał, a gdy widział, że to bez skutku, tedy i kijem grzbiet obłożył. Ale to było już za późno, już nic wybić nie mógł, a przecierpieć też tych wszystkich psot nie było można. Nieraz i do komory go zamknął, męcząc go głodem przez całą dobę. Chłopiec, dopóki mu się jeść chciało, przyrzekał poprawę, lecz skoro odzyskał wolność i zaspokoił głód, tak zaraz do dawnego trybu wracał. Gdy zaś mu się sprzykrzyło to ojcowskie karanie, tedy powiedział sobie: cóż ja tu mam dawać się tyle męczyć, przecie ja już dość wielki, to sobie i bez ojca poradzę. I tak nie namyślając się długo, dorwał się ojcu do skrzyni, nabrał pieniędzy w kieszeń, z komory zaś matce wziął bochenek chleba i masła, to wszystko wpakował do torby, a gdy ściemniało, poszedł.

Idzie tak sobie całą noc, nie wiedząc sam gdzie; idzie i w dzień, a jakoś mu dobrze było, bo miał i co jeść, a gdy do miasta przyszedł, to sobie i pozwolił różnych łakoci, a nikt go nie łajał, nikogo się też nie bał, słowem nie mógł sobie lepszego życia życzyć.

Ale na nieszczęście, chleba po każdem ukrajaniu ubywało i masła, a pieniądze też wnet przeszły. I zamiast, żeby pomyśleć o dalszem utrzymaniu dla siebie, on zawsze wesoły jadł, póki starczyło pieniędzy. Zamiast, żeby poszukać dla siebie jakiej służby, on się nie stara, ale wciąż idzie i idzie, aż nakoniec przychodzi do lasu. Ciekawy, jak też to w lesie jest, bo go jeszcze w życiu nie widział, wchodzi tam, a zachwycony, to śpiewem ptaków, to skakaniem zwierząt różnych, idzie coraz głębiej w las, nie myśląc o tem, jak też się napowrót z niego wydostanie, a co najgorsza, nie pomyślał, że chleba nic a nic już nie ma. I gdy tak biega po lesie, wystraszając ptaki, tedy mu się nareszcie i jeść zachciało. Sięgnie do torby — nie masz nic, szuka w kieszeniach też nie ma. Dopiero to pomyślał o powrocie. Ale też i w lesie ciemnieć poczęło, a nasz Jasiek nie wie, w którą stronę się o-

brócić, żeby wyjść, bo się niczego nie uczył, niż też nie wiedział.

Tak tedy błądzi po lesie już po ciemku, a coraz to dalej w głąb lasu idzie. Przechodził tak całą noc. Rano, gdy się rozedniło, zdawało mu się, że jest w tem samem miejscu co wczoraj, bo wszędzie te same drzewa, te same ptaki, te same zwierzęta widział. A tu jeszcze dziś bardziej jeść mu się chciało, jak wczoraj. A tu chleba ani skibki. Teraz poznał swój błąd, który ucieczką sprawił. Radby się wrócić do ojca, być mu posłusznym, ale jakże się ztąd wydostać, kiedy nawet nie wie, z której strony przyszedł?

I znowu chodzi przez cały dzień, i widzi te same drzewa zielonem liściem okryte, i słyszy te same ptaki śpiewające, i te same zwierzęta przesuwają mu się przed oczyma, ale już te zielone gaje nie mają żadnego powabu, już ten śpiew ptaków mu się nie podoba, ani za wystraszonemi zwierzami nie podskakuje; wszystko mu obojętne. Nie mając kawałka chleba, nie myśli już też o jadle, choć mu już mocno głód począł dokuczać; myśli on więcej o tem, żeby się ztąd wydostać, żeby się rozestać z lasem, żeby jak najprędzej być w ojcowskiej chacie, a tam by zapewno znalazł posiłek.

I gdy takiemi marzeniami zajęty, ani się spostrzegł, że znowu się ciemnieć zaczyna, poczem też wkrótce noc nastąpiła, noc straszliwsza od poprzedniej; bo już i nadzieję stracił wydobycia się z objęć lasu. I tu go straszna rozpacz ogarnęła, że może prędzej głodową śmiercią umrzeć, niż ztąd się wydobyć. Tu radby się modlić, radby prosić, ale nie wie kogo, bo się w domu nigdy tego nie uczył.

I usiadł wreszcie pod drzewem i zaczął płakać, a w tym płaczu zasnął. I śniło mu się, że ojcu wielką szkodę zrobił, że ojciec wziął rózgę i chciał go za to ukarać, ale on ucieka przed nim, i wpadł w głęboki dół, pełny okrutnych zwierząt i potwornych ptaków, które go pożreć chciały. I próbuje się ztąd wydostać, lecz za każdem wysileniem tem głębiej się pogrąża. A tu widzi stroskanego ojca nad przepaścią, który mu chce rękę podać, wyratować, wydobyć go, ale daremnie. J zdaje mu się, że słyszy ogromny szum nad sobą. I widzi, że brzegi tej przepaści się obrywają i z łoskotem strasznym walą się na niego. I zrywa się z miejsca, żeby umknąć strasznej śmierci i — wtem się budzi. I myśli co też to z nim się robi i maca rękami w koło siebie, chcąc wiedzieć, gdzie się znajduje i chwyta to twarde drzewo, pod którem to się położył; i tu się mu przypomina jego dola i chciałby płakać, ale już nie może, bo rozpacz tem większa go ogarnęła. I słucha, czy jakiego ludzkiego głosu ztąd nie usłyszy, któryby go mógł wybawić, ale wszystko darmo, szum lasu tylko odbija się o jego uszy, co go tem większą grozą przejmowało.

Zmęczony tak długiem bieganiem po lesie, wycieńczony na siłach dwudniowym postem, pomimo okropnych myśli, jakie mu się przez głowę przesuwały, usnął znowu. I znowu straszne sny go trapiły, śniło mu się, że za obszerną, głęboką rzeką widział piękny ogród, w nim pełno najpiękniejszych owoców. Udaje się więc, by przebyć wodę, chcąc nęcącego owocu narwać. A tu słyszy, jak matka woła nań, żeby się ochronił od tego, bo rzeka głęboka, i łatwo mógłby się utopić. On nie słucha ale śmiało wchodzi do wody, postępuje coraz dalej, aż naraz wpada na głębią; chce się ratować, chce powrócić, ale zamiast tego, coraz głębiej wpada, słabnie na siłach. I widzi swą matkę, jak się za nim rzuca we wodę, podaje mu rękę, ale naprożno, bo go dosięgnąć nie może. Gdy tak się pasuje z wodą, dobywa ostatnich sił, podskakuje w górę i — znowu się budzi. Jakby jeszcze we śnie był, macha rękami w około, woła: mamo! ratuj! i chwyta znów to samo drzewo, pod którem spał. Dopiero przyszedł do przytomności, dopiero poznał, że nie we wodzie, ale w lesie się znajduje. Dotkliwe zimno mu dokuczało, tak że się cały trząsł. A lubo rad był, że to tylko był sen, to jednak czarne myśli nie opuszczały go, bo był pewien, że niechybnie śmiercią głodową zginąć musi.

Tak przemyśliwając nad swą nieszczęśliwą dolą, już oka nie zmrużył, aż też i dnieć zaczęło; ale w jego duszy było ciemno, jak najstraszniejsza noc.

Z nadejściem dnia wstał i szedł dalej, ale już nie widział pięknego lasu i jego

mieszkańców, już nie słyszał pięknego śpiewu ptaków, i nieraz głową o drzewo uderzył, tak był bezprzytomny.

Chodząc tak znowu cały dzień, niemal co trochę odpoczywał, bo już też i nogi posłuszeństwo mu wypowiedziały.

Gdy już blizko był wieczór, usiadł cały zemdlony i zaczął rzewnie płakać, bo już tak był słaby, że i kroku dalej postąpić nie mógł.

A wtem się przed nim ukazuje dziwna postać człowieka; w szatach lśniących od złota, z białą aż do kolan sięgającą brodą.

Na pierwszy rzut oka struchlał i zląkł się, ale postać człowieka i głos, który do niego przemówił, odjęły dalszy strach od niego, a natomiast wstąpiła weń nadzieja, że jeszcze nie zginie.

— Co tu robisz? chłopcze, — zapytał go ów nieznajomy człowiek.

A on mu opowiedział całą swą przygodę, i że już trzy dni nic nie jadł.

— Chodź ze mną — powiada mu — a dam ci jeść.

Jakoż z radością, acz słaby, wstał na nogi i szedł za nim, ciesząc się, że przecież jeszcze od głodu nie umrze.

Niedaleko ztamtąd przyszli na piękną łąkę, po za którą wznosił się niewielki pagórek. Gdy tam doszli, ujrzał nasz chłopiec w owym pagórku dość obszerną jaskinię. Weszli do niej. Tu zaraz ów człowiek leśny postawił przed niego najwytworniejsze potrawy, żeby jadł. Chłopak też nie kazał tego sobie dwa razy mówić, ale z jak największą chęcią spożył, co przed niego postawił.

Gdy już sobie podjadł, rzekł mu ów staruszek:

— Teraz pójdziesz spać, gdyżeś zapewno bardzo strudzony, a gdy sobie odpoczniesz, to zaczniemy co innego. I wskazał mu łóżko, żeby się położył.

Spał nieborak, jak zabity, i ani się spostrzegł, że już biały dzień, aż go ów stary zbudził.

Znowu zastał już gotowe śniadanie na stole i na rozkaz starca siadł do stołu i je.

Dziwiło to nie mało owego człowieka, że chłopiec ani przed jedzeniem, ani po jedzeniu, nie tylko że się nie modlił, ale że się nawet ani nie przeżegnał.

— A masz ty jeszcze rodziców? — zapytał go.

— Mam — odpowiedział.

— A uczyli też ciebie pacierza?

— Nie — odpowiada chłopiec.

— Więc od dziś dnia, co rano i wieczór, będziemy społem pacierz mówili, bo ja widzę, że ty jak najgorsze wychowanie odebrałeś, że ty wcale o Bogu nic nie wiesz.

I tak wziął chłopca w szczególniejszą opiekę i odtąd co rano i wieczór, przed i po jedzeniu, odmawiali wspólnie modlitwę, tak że w krótkim czasie chłopiec nauczył się też Boga znać, gdyż starzec często mu o nim opowiadał.

Oprócz tego uczył go też czytać, gdyż miał różne ciekawe książki, nad czem się chłopiec bardzo cieszył. Przytem uczył go i pisać i rachować i różnych jeszcze innych nauk mu nie skąpił. Ale czem go najbardziej ucieszył, to tem, że go i grać na różnych instrumentach uczył, a mianowicie na harfie. A gdy trochę zmężniał, to mu i szablę przypasywał do boku i karabin kładł do rąk i uczył, jak to tem trzeba robić, bo mówił: w życiu człowieka każda nauka może się przydać, a nieuk zawsze biedę klepie i w najpotrzebniejszych razach nie wie, jak sobie poradzić.

Tak mijały tygodnie i miesiące, a chłopiec ani się spostrzegł, że to już rok upłynął, tak mu dobrze było; bo też wzorowa zgoda była między nimi; starzec nauczał, żywił, przyodziewał, a chłopiec we wszystkiem był posłuszny, co mu kazał.

Dziwiło to jednak chłopca bardzo, zkąd ów człowiek zawsze te pokarmy bierze, bo nigdy nie widział, żeby co gotował, a przecież trzy razy dziennie świeże i to wyborne potrawy stawiał na stół; a przytem też żadnych przyrządów do gotowania w owej jaskini nie widział, bo oprócz stołu, dwóch stołków, dwóch łóżek, szafy do książek i pieca, w którym podczas zimy palili li tylko dla ogrzania swego pomieszkania, żadnych innych sprzętów nie było.

Po niejakim czasie spostrzegł, że w jednej ścianie tej jaskini są drzwi, ale tak szczelnie wprawione, że je na byle rzut oka trudno od ściany rozróżnić. A gdy dalej

więcej na to uważał, spostrzegł, że stary tam wchodził. Z początku nie śmiał go się o to pytać, później jednak, ośmielony dobrocią i łaskawością starca, zapytał go: na co te drzwi są i co tam się za niemi znajduje.

— Przyjdzie czas, że się o wszystkiem dowiesz — odpowiedział stary, teraz jednak ci tego powiedzieć nie mogę.

Trzy lata już upłynęły od czasu, jak nasz Jasiek, w służbie u starca w lesie się znajduje, po którym to czasie rzekł do niego ów starzec:

— Teraz już czas, żebyś ten las opuścił, a szedł między ludzi, bo nauka, którą odemnie odebrałeś, na nic by ci się nie przydała, jeżeli byś zawsze był odludkiem. Idź więc między ludzi, bo możesz być komu użyteczny, jeżeli tego, czego cię nauczyłem, ściśle przestrzegać będziesz.

Trudno pojąć, jaki smutek te słowa na chłopcu sprawiły; on radby był zawsze przy nim pozostać, ale nic nie pomogło, musiał się poddać rozkazom starca, zwłaszcza gdy mu ten powiedział, że się jednak każdy dzień widywać będą społem.

— Idź, powiada mu — w tę tu stronę — wskazał ręką; tam niedaleko od tego lasu jest obszerne i piękne zabudowanie, jest to dwór królewski, tam właśnie brak owczarka, zgłoś się za takiego, a przyjmą cię. Gdy zaś wyganiać będziesz owce na paszę, to je tu na tę łąkę przypędzaj, to takim sposobem możemy każdy dzień społem mówić, i niejednej rzeczy ciekawej mogę cię jeszcze nauczyć.

Rozweselony temi słowami, pożegnał starca i poszedł i wnet wyszedł z lasu, po za którym niedaleko ujrzał piękne domy. Tam się udał, a gdy się zgłosił u drzwi, żeby rad jako owczarek służbę przyjął, został przedstawiony włodarzowi, który mu zaraz służbę oddał.

Nazajutrz popędził swoje owce do lasu, gdzie go już stary oczekiwał na łące, a gdy ku niemu przyszedł, przywitał go mile. Usiedli obaj na murawie i tak w rozmowie przepędzili cały dzień. Już słońce dawno się skryło po za drzewa i wkrótce miało zajść, a nasz owczarek ani wiedział o tem, aż mu starzec powiedział, że już czas wracać do domu, a że jutro znów tu ma się stawić.

Tak dzień po dniu przechodził, a w każdy to samo. Owce najadłszy się do syta woniejącej trawy, polegały, póki ich nie pozganiał, żeby je do domu zapędzić. I bardzo też taka pasza służyła owcom, które w krótkim czasie lepiej i piękniej wyglądały, jak dawniej, co też cieszyło naszego naszego owczarka, bo oprócz pochwały, nieraz i nagrodę dostawał.

Minął rok służby, jakby kijem rzucił, i na drugi rok znowu proszą owczarka, żeby służył. Przystał. Zapędza swoje owieczki znowu na znane miejsce, a starzec zawsze tak miły, coraz innych, coraz to ciekawszych go nauczył rzeczy; a też go się i wypytał, co tam w zamku robią, co tam słychać na świecie — lubo to sam najlepiej wiedział.

Tak znów upłynął drugi rok służby we dworze, a nasz Jasiek przyjął kolendę znowu na trzeci rok; bo teraz mu już wszędzie było dobrze, bo miał naukę w głowie, a wiedział też, że trzeba być posłusznym.

Jednego dnia, gdy znów do lasu owce zapędził, zapytał go starzec, jak zwykle to czynił, co tam słychać w zamku.

— Dziwne rzeczy tam słychać — powiada owczarek — oto wszystko w zamku czarnem suknem obite, płacz w królewskiej rodzinie, a wszyscy słudzy bardzo smutni, tak że się bardzo dziwuję, co tam się stało takiego. Pytałem się jednego sługi o to, a on mi odpowiedział:

— Lepiej, że nie wiesz, bo byś i ty smucić się musiał, jednak wkrótce dowiesz się o wszystkiem.

Tu ów starzec wziął go za rękę i poprowadził na wzgórze, na którem usiedli, i tak mu opowiadać zaczął:

— W lesie tym jest straszny smok, a on tu już jest od stu lat; otóż z początku pożerał, kogo natrafił; robił i dalej wycieczki i straszne spustoszenia sprawiał, tak że nikt nie mógł się śmiało w blizkości tego miejsca pokazać, a gdy ludzie zaczęli unikać od tego miejsca, to on i na parę mil wychodził, tak że już ludzie nie wiedzieli sposobu, gdzie przed tym potworem uciec. Tak zebrali się na radę panowie i postanowili, że każdy dzień losem dostarczać będą

smokowi jednego człowieka. Królewski dwór, książęta i panowie wolni od tego mieli być. Wszystko tylko ubogi lud tę plagę miał ponosić.

Z czasem ludzie prości zmądrzeli, bo też to już im się i niesłusznie wydawało, że bogacze od tej plagi wolni byli. Zebrali się tedy w kupę i tak sobie powiedzieli: Cóż my to tylko sami od tego smoka mamy być pożerani, a panowie i bogacze nie? I przyszli tak razem do króla, z tem oświadczeniem: że jeżeli im król słuszności nie przyzna i sprawiedliwości nie uczyni, tedy się zbuntują, a tak na panów większa jeszcze plaga przyjdzie, niż od tego smoka.

Król, gdy ujrzał tak ogromną moc ludzi, aż się zląkł, i zwołał wnet radę złożoną z książąt i panów, a tam uradzili, żeby wyjąwszy tylko królewską osobę, każdy był brany pod losowanie dla smoka. Bo mówili: jednego tylko króla mamy i tego musimy szanować, gdyż jakby porówno z nami miał ów nieszczęśliwy los podzielać, to i któżby nami rządził, gdyby na króla padł los?

— Tak od tego czasu, mój synu, każdy prócz króla, jest pod losowanie dany, a dużo już książąt i panów do tej przeklętej paszczy się dostało.

— A czyby też to ludzie nie mogli tego smoka zabić, zwłaszcza gdyby się tak w kupę zebrali, jak to wtedy, gdy się zbuntować chcieli? zapytał owczarek.

— Nie, moje dziecko — odpowiada starzec, — smok tylko od jednej osoby ma być zabity, ale to nie tak łatwo wykonać; już się niektórzy waleczni rycerze kusili o to, ale żadnemu się nie udało pokonać bestyi, owszem każdy z nich został pożarty od niej, teraz już nikt się nie odważy, by walczyć ze smokiem.

— A też to może dla niego tak wszyscy smutni? zapytał się chłopiec.

— Z tej przyczyny właśnie — odpowiedział starzec — ale jest tam jeszcze szczególniejsza okoliczność, która ten smutek właśnie do królewskiego pałacu wprowadziła.

— Ciekawym co się stało! — powiada chłopiec.

— Żebyś i ty to wiedział — mówi starzec — to ci wszystko powiem. — Otóż ten król, u którego jesteś owczarkiem, ma jedyną córkę; krom niej, żadnego dziecka nie ma, to łatwo zrozumiesz, jak ją bardzo kocha. Otóż nieszczęśliwy los padł na nią, że ma być daną smokowi na pożarcie, a już to jutro ma nastąpić. Dla tego tak wielce wszyscy się smucą. Król dał obwołać w całym kraju, że gdyby się kto znalazł, coby jego córkę od tak straszliwej śmierci wybawił, tenby nietylko królewnę, ale nawet całe królestwo otrzymał. Nikt się wszelakoż nie znalazł, bo nikt się z smokiem potykać nie waży. A tak już jutro, bez żadnej nadziei, ma królewna być odprowadzoną przed smoczą jamę.

Ty tedy jutro przypędzisz tu twoje owce wcześniej, niż zwykle to czyniłeś, bo bardzo ważną rzecz mam ci do powiedzenia; a teraz już się zabieraj do domu, a nikomu nic nie mów, cośmy tu rozmawiali społem.

Nazajutrz tak, jak stary kazał, owczarek bardzo rano już był ze swoją trzodą na łące w lesie; starzec jak zwykle, przywitał go. Potem wziął go za rękę i wprowadził do swego mieszkania, w którem przez trzy lata społem przeżyli, otworzył owe tajemnicze drzwi w ścianie i tak rzekł do niego:

— Janku, kochany Janku! dziś wielkich rzeczy masz dokonać, oto ty masz być wybawcą królewny.

— Jakto? powiada chłopiec — czy ja też mam być od tego smoka pożarty! Przecie mówiłeś, że już tyle walecznych rycerzy śmierć we walce z nim znalazło, a cóż ja biedny pasterz mógłbym zrobić?

— Właśnie ty masz tego dokazać, ale musisz tak uczynić, jak ci każę. Oto słuchaj: Tu masz tę laskę, którą ci daję, z tą pójdziesz oto tą ciemną komorą, o którą to dawniej pytałeś, tam wnet wyjdziesz na widok i prostą ścieżkę mieć będziesz przed sobą, tą pójdziesz, aż trafisz do zamku; ten jest zaklęty. Przed wrotami zastąpi ci wielki niedźwiedź, i musiałbyś niechybnie zginąć od niego, gdyby nie ta laska, którą ci dałem; tą skoro się go dotkniesz, to zaraz nieżywy padnie. Przyjdziesz potem do żelaznych drzwi, a gdy w nie tą laską uderzysz, to ci się same otworzą. Potem musisz przejść przez kilka kurytarzy i pokoi,

w których pełno kosztownych rzeczy będzie, ale pamiętaj, byś nic ztąd nie wziął. Wreszcie przyjdziesz do obszernej sali. Tam będzie koń czarny już osiodłany, przed nim na ścianie wisi miecz i ubiór rycerski, a wszystko z błyszczącej stali. W ten się śpiesznie ubierz, przypasz miecz, wsiądź na koń i wyjedź tędy, którędy wszedłeś, a potem zdaj się na konia, bo on już będzie wiedział, gdzie z tobą iść. Wnet też przyjedziesz przed smoczą jamę. Potykaj się śmiało, a gdyby ci szło ciężko, tedy wspomnij na mnie. A teraz już idź, bo już z królewną wyjeżdżają ze zamku. Spiesz się tylko, a nie bój się niczego.

Po tych słowach chłopiec, choć mu to jakoś markotno było, znikł wkrótce w ciemnej komorze, a tymczasem ów starzec siadł do stołu, wziął grubą księgę i czytał.

Kilka pięknych wozów, między któremi jeden najpiękniejszy, bo aż się lśni od srebra i złota, toczy się lasem znajomą drogą ku smoczej jamie. Osoby na wozach bogato ubrane, ale każda z osób ma jakiś czarny znak na sobie: mężczyźni na czapkach szerokie, czarne wstęgi, których końce aż na plecy spadają, kobiety zaś czarne zasłony. W owej najpiękniejszej karecie siedzą cztery tylko osoby, tj. król, królowa, królewna i lekarz, który różne flaszeczki ma przy sobie, a z nich co chwila mdlejącej królewnie, to skronie naciera, to z innej pić daje. Królewna cała w czarnem odzieniu była ubrana.

Niedaleko od jamy stanęły wszystkie wozy; wszyscy, prócz królewskiej rodziny z wozów powysiadali, i kilka kobiet przybiegło do królewskiego wozu; były to niewolnice, przyszły one po królewnę, ażeby ją do smoczej jamy zaprowadzić, i być wraz z nią pożarte. Tu rzucili się król i królowa w objęcia córki i głośnym płaczem wybuchli, bo to już ostatni raz mieli ją widzieć. A gdy już ostatni pocałunek na ustach swej córki złożyli i już ją oddawali niewolnicom, nagle usłyszeli tentent konia, i gdy się oglądają, co to ma znaczyć, ujrzeli rycerza w stalowej zbroi, na czarnym rumaku, śpiesznie ku nim podążającego. Zdziwili się nie mało, gdy tuż ów rycerz stanął przed nimi i oświadczył, że się chce z smokiem potykać i ich córkę wybawić. Rozkazał im stać na miejscu i patrzeć, co się dziać będzie.

W kilku skokach już stanął rycerz przed jamą i zawołał:

— Wychodź, szatanie, aż się spróbujemy.

— Jeszcze nie czas! — dał się słyszeć z jamy głos.

I tak ów rycerz musiał nazad wrócić, choć go to bardzo bolało, że nie mógł smoka zabić i tym sposobem pocieszyć w żalu królewską rodzinę.

Przybył tedy do króla, który sam tego pojąć nie mógł, czemu rycerz, nic nie zrobiwszy powraca, i powiedział mu, jaką odpowiedź z za bramy odebrał. Wszyscy się zasmucili, bo wiedzieli, że jutro znów będą musieli z królewną do smoczej jamy się udać, a nie mieli nadziei, że zaś wybawcę dostaną. Prosił tedy król owego rycerza, żeby był łaskaw do ich zamku udać się i do jutra zabawić. Ale on odmówił ich prośbie, bo powiadał, że w swym kraju właśnie na jutrzejszy dzień ma bardzo ważny interes, a ten odroczony być nie może. Pytali go tedy o nazwę jego kraju i o imię jego samego, ale i tego im nie powiedział. Na pożegnanie podał dłoń królewskiej rodzinie, którą ci z bólem w sercu czule uściskali, a gdy jeszcze go prosić chcieli, żeby zaś raczył jutro w to miejsce przyjechać, on znikł w lesie.

Tak tedy z wielką żałością pojechali do zamku, zkąd zaś jutro mieli w to miejsce przybyć. A choć nie wiedzieli na pewno, czy im jaki wybawca nazajutrz do pomocy przyjdzie, to jednak dzisiejszy wypadek dodawał im otuchy, że im Bóg znowu wybawcę ześle, gdy tego będzie potrzeba. Tak przepędzili całą noc na modlitwie, prosząc gorąco Boga o pociechę.

Wróćmy teraz do naszego rycerza, gdzie on jest. Otóż tą samą drogą, którą do lasu przyjechał, znów odjechał do zaklętego zamku. Postawił konia, gdzie go wziął, złożył ze siebie zbroję, ubrał się w swe pasterskie ubranie i tą samą ścieżką, a następnie ową ciemną komorą przyszedł do mieszkania swego opiekuna. Temu całe zdarzenie opowiedział, choć on to wszystko w duchu widział.

— Teraz zabieraj się z twemi owcami do domu — rzekł mu starzec — a jutro zaś wcześnie tu przybywaj, bo to samo cię czeka co dzisiaj, a może będziesz miał sposobność jutro zabić smoka. Ale uważaj, żebyś nic o tem w domu nie powiadał, co dziś czyniłeś.

Pognał więc swoje owce do domu, gdzie wiele słyszał od sług, jak pewien piękny rycerz przyjechał zabić smoka, ale że się to stać nie mogło, bo jeszcze nie przyszedł czas.

Nazajutrz, rychło rano nasz owczarek już w drodze ku lasowi ze swemi owcami się śpieszy. Jak zwykle kiedy przybył, bywał od starca miłe przywitanym, a dziś to jeszcze czulej go witał. I znowu mu kazał udać się do zaklętego zamku, świadomą mu już ścieżką. Powiedział mu, że za owym pokojem, gdzie wczoraj konia i zbroję wziął, znajduje się dziedziniec a w tym dziedzińcu ogromny lew; ten zaraz rzuci się na niego, ale go czemprędzej ma ową laską uderzyć, a wnet padnie nieżywy. Potem przyjdzie do srebrnych drzwi, w które gdy laską uderzy, tak samo jak wczoraj mu się otworzą. Jest to wchód do drugiej części zamku, gdzie jeszcze więcej bogactwa się znajduje. Atoli ztąd nic nie weźmiesz, ale idź wprost do pokoju, gdzie gniady koń, już osiodłany będzie, a ubiór i zbroja lśnić się będą od srebra. W tę się ubierz prędko, wsiądź na koń i jedź czemprędzej przed smoczą jamę. Sprawuj się dzielnie, a gdyby ci szło ciężko, wspomnij na mnie. Jeźli by ci się udało, nie przyjmuj żadnej nagrody, gdyby ci takową dać chciano. Zresztą uważaj na to, by cię nie poznano, żeś to ty ten sam co wczoraj.

Po tych słowach prędko nasz owczarek odszedł wskazaną sobie drogą i wnet stanął przed zaklętym zamkiem, gdzie przeszedłszy żelazną bramę i już mu znajome pokoje, wyszedł na dziedziniec. Tu z wielką zażartością rzucił się na niego ogromny lew, i byłby go niechybnie życia pozbawił, gdyby nie czarodziejska laska, którą, skoro go dotknął, ten padł nieżywy. Postąpił potem do owej srebrnej bramy, uderzył w nię laską i zaraz mu się otworzyła. Przeszedł kilka wspaniałych pokoi, w których pełno kosztownych rzeczy się znajdowało; tych on jednak nie naruszył, ale szedł dalej, aż do wskazanego miejsca, gdzie znowu już osiodłanego konia i ubiór rycerski razem ze zbroją znalazł. Niebawem się ubrał, dosiadł rumaka i śpiesznie wyjechał, powierzając przewodnictwo koniowi.

Właśnie na czas przyjechał, gdyż już też z królewną w tem samem miejscu byli co wczoraj. Stanął przy nich i, jakby nic o tem nie wiedział, pytał się o przyczynę, dla której w takiej żałobie tu przyjęchali. Król całą rzecz opowiedział, oraz dodał, że już wczoraj tu byli w tej sprawie, ale Bóg zesłał im wybawcę, który chciał smoka zabić, ale ten nie chciał z swej jamy wyjść, i tak rycerz, nic nie zrobiwszy, odjechał i sami zaś nie wiedzą kto on był. Dzisiaj znowu na to nieszczęśliwe miejsce przybyli, żeby swą jedyną córkę oddać w paszczę smoka.

— Zostańcie tu na miejscu, pojadę ja przed jamę, a Bóg mnie wspierać będzie w walce z bestyą — rzekł rycerz — i nim się spostrzegli, on był już przed jamą.

— Wychodź, szatanie! — zawołał rycerz w srebrnej zbroi.

— Jeszcze nie czas na to dzisiaj, czekaj do jutra — dał się słyszeć głos z jamy.

Z smutnem sercem wraca nasz rycerz napowrót, bo choć nie wątpił, że jutro swego celu dopnie, to jednak wiedział, że królewska rodzina z tego się bardzo zasmuci, którą radby jak najprędzej zwycięztwem rozweselić, a zwłaszcza piękną królewnę, która mu bardzo w oczy wpadła. —

Opowiedziawszy rzecz całą królowi, jakiej się dowiedział przed jamą, oznajmił wreszcie, że on dziś musi precz odjechać dla bardzo ważnej sprawy. Pocieszył ich jednak, że i na następny dzień Pan Bóg obmyśli dla nich wybawcę.

Tak samo jak pierwszego dnia, postawił konia na jego miejscu w zaklętym zamku, ubiór i zbroję złożył natychmiast z siebie; a natomiast ubrał się w swoje pasterskie odzienie i spiesznie podążył do mieszkania swego opiekuna.

Ten znów mu podziękował za jego dobrą chęć i dobre zachowanie się wobec królewskiej rodziny, kazał mu pędzić owce do dworu, a jutro jeszcze wcześniej tu przybyć;

bo mówił, że jutro napewno walkę stoczyć będzie musiał, przez którą nietylko królewnę, ale siebie uszczęśliwi. —

Gdy powrócił ze swą trzodą do domu, usłyszał całą historyą o rycerzu w srebrnej zbroi, ale pomny na przestrogi, nic nikomu nie powiedział.

Nazajutrz, nim słońce weszło, był już z owcami w lesie. Tu wyszedł mu naprzeciw jego opiekun i serdecznie go uściskał. Po kilku słowach zachęty do podjęcia się tak wielkiej sprawy, powiedział mu, że i dzisiaj do zaklętego zamku udać się musi. Tam ma przejść wszystkie te miejsca, które przez dwa poprzednie dni przechodził, a za temi trafi na inny dziedziniec, na którym moc drapieżnych zwierzat, a oprócz tych i dużo brzydkiej gadziny drogę mu zastąpi; te wszystkie on jednak swą czarodziejską laską pokona. Potem przyjdzie do złotej bramy, która mu się także za uderzeniem owej laski otworzy. Teraz wnijdź — powiada mu dalej — do prześlicznych pokoi; w których wszystko kapie od złota i w jednej obszernej a pięknej sali znajdziesz białego konia, a przy nim i ubiór i zbroję ze złota. W to się ubierz, dosiądź konia i ruszaj co prędzej na znajome ci miejsce. Potykaj się dzielnie i z wielkiem męztwem, bo nie lada to sprawa z tym smokiem. Bądź jednak dobrej myśli, że go zwyciężysz. Po skończonej robocie postąp sobie tak samo, jak przez te dwa dni, gdyż inaczej byłbyś nieszczęśliwym — Bóg z tobą.

Po tych słowach, choć nieco się lękał przyszłej walki, zawrzała w nim krew do bitwy i z bijącem sercem pobiegł do zaklętego zamku, gdzie wszystko tak jak mu to ów starzec powiedział, znalazł. Niepospolitą walkę stoczyć mu wypadło na dziedzińcu z okrutnemi zwierzami i gadzinami, które zajadle nań nacierały i wielkiej wytrwałości mógł zwycięztwo przypisać, gdyż długo walczyć musiał, nim wszystko pokonał. Właśnie też tego było potrzeba, żeby nabyć męztwa, bo daleko większa go jeszcze robota czekała ze smokiem.

Po ubraniu się w złotą zbroję, wsiadł na koń i z szybkością ptaka przyjechał na miejsce, gdzie już rodzina królewska od godziny wyglądała, jeżeli im Bóg i dziś ześle wybawcę. Niezmiernie się wszyscy ucieszyli, gdy im rycerz w złotej zbroi, na białym rumaku oświadczył, że on dziś smoka zabije i królewnę wybawi. Wszyscy go czule uściskali ze łzami. Polecił się ich modlitwie, cwałem dojechał przed jamę i zawołał:

— Wychodź szatanie! dziś bowiem walczyć z sobą będziemy.

Jak po ciężkim grzmocie zatrzęsie się ziemia, tak cała góra się zatrzęsła, gdy ten straszny potwór ruszył się. Na ten objaw zadrżało serce mężnego rycerza i byłby może zachwiał się w przedsięwzięciu gdyby nie koń jego, który na widok smoka zarżał i nogami zaczął tąpać, chcąc przez to pokazać swą chęć do walki z bestyą. To mu dodawało odwagi. Pędem skoczył ku smokowi i zaczął rąbać szablą. Ale trudna to była sprawa, bo smok, nie tylko, że był ogromny, ale miał on siedm głów, a co jeszcze bardziej go przeraziło, to to, że odcięte łby napowrót przyrastały. Ze siedmiu paszczy buchał ogień, który go bardzo raził. Ogonem, który na kilkanaście stóp był długi, tak silnie wali, że zwyczajny koń od jednego uderzenia byłby zabity. Ale jego koń wytrzymał to wszystko i ani razu nie zadrżał, owszem tratował smoka nogami, przez co wiele dopomógł rycerzowi do ucinania łbów. Długo trwała ta walka, a nasz rycerz coraz to bardziej słabnie, gdyż od ognia, który z paszczy smoka wybuchał, jakoteż od jadu, który nań pryskał z odciętych głów, tak był zemdlony, że już ledwo na koniu się mógł utrzymać. Królewska rodzina w największej trwodze o rozstrzygnienie walki, wśród modłów przypatrywała się. A gdy już ostatnich sił dobywał i blizkim był zwątpienia, wtedy wspomniał sobie na swego opiekuna i w duchu polecił się jego modlitwie. Zaraz też nowa otucha weń wstąpiła, zebrał wszystkie siły w kupę: koń zaś jego z całą natarczywością wszystkiemi czterema nogami wskoczył na smoka, co rycerz widząc, ciął z całej siły i naraz odpadło siedm łbów. Smok żyć przestał, ale i nasz rycerz od wielkiego zemdlenia padł na ziemię z konia.

(Dokończenie nastąpi).

W. BOGUSŁAWSKI.

CUD

CZYLI

KRAKOWIACY I GÓRALE

W TRZECH ODSŁONACH.

(Ciąg dalszy).

Zosia.

A moja srokata.

Basia.

Idźmy za niemi.

Dorota.

Ale jakże chata
Tu będzie? Idź ty Basiu, ja w domu zostanę.

Basia.

Pójdę, pobudzę dziewki, niech się wspólnie biją,
Wsakze to ich dobytek, wsakze z niego zyją.

(Odchodzi).

SPRAWA XVII.

Bardos, Pastuch.

Bardos.

Jakże tu teraz wstrzymać chłopstwo rozhukane?
Obym mógł co takiego znaleść w mojej głowie
Zeby ich zgodzić można! bo mojej wymowie
Nie chcą wierzyć, gdybym mógł cud pokazać jaki!

(Myśli.)

Hola! jest cud, cud, dobry na takie prostaki,
Mam z sobą elektrykę! użyję jej teraz
Na zdurzenie szaleńców, wszakże nią przed laty
Wiele rozumnych nawet odurzono nieraz,
Nim człowiek, do dzisiejszej podniósł się oświaty.
Mnie się moja fatyga tym hojniej zapłaci,
Kiedy wstrzymam rozlew krwi moich współbraci.

(Do pastucha.)

Hola! mój przyjacielu, weź mię do twej łódki,
Staraj się, byśmy mogli uprzedzić Górale,
A ja, i bydło zyskam, i ludzi ocalę.

(Odchodzi do karczmy i wychodzi zaraz zelektryzowany.)

Pastuch.

Z dusy Panie, siadajmy.

(Odpływają.)

SPRAWA XVIII.

(Mnóstwo Krakowiaków i dziewek, wszyscy z widłami, siekierami, grabiami, pałkami, na czele ich Miechodmuch z kapturkiem do gaszenia świec.)

Miechodmuch.

Gdzie są te wyrodki,
Co się nam ważą mięszać w uciechy weselne?
Dam ja im, niechby sobie brali dobra czyje,
Ale niechaj zostawią w całości kościelne,
Mnie tylko o to chodzi, bo z kościoła żyję,
Jak mi bydła nie wrócą, te wyschłe profoszy,
To im wnet tym kapturkiem, poucieram noszy.

CHÓR JENERALNY.

Nuze bracia, dzieci, zony,
Idźmy wsyscy, idźmy śmiało,
Niech ten będzie zawstydzony.
Ktoby dziś miał męstwa mało,
Gdzie o wsystkich idzie całość
Tam najpierwsa cnota śmiałość.

(Wszyscy siadają na łodzie i odpływają od lądu, zasłona spada.)

ODSŁONA II.

SPRAWA I.

(Teatr przedstawia las, w głębi po prawej stronie widać wzgórek okryty krzewinami. Bryndus, Morgal, Swistos przychodzą z lewej strony pełni radości, i śpiewają.)

ŚPIEWKA.

Bryndus.

Wsystko łepsko się udało,
Mamy bydło, mamy owce,
Niechaj poznają Krakowce,
Co umiemy, choć nas mało.

Morgal.

Sto wiepsaków.

Swistos.

Świń ze dwieście.

Morgal.

A woły?

Swistos.

A kozioł tłusty?

Morgal i Swistos.

Jak się to wypseda w mieście,
Będzie cem hulać w zapusty.

Bryndus.

Więc się ciesmy psyjaciele,
Mamy zemstę, mamy chwałę,
I kazem chłopy zuchwałe,
I zdobycy mamy wiele.

Morgal.

Ale gdy nas zechcą gonić,
Gdy zechcą bydło odbierać?

Bryndus.

Tseba nam się mężnie bronić,
Lub zwyciężać, lub umierać,
Bracia! stańmy ksepko w boju, *(we trzech*
Nie załujmy krwie i znoju, *śpiewają.)*
Wsak choć casem licha sprawa,
Ten ma słusność, co wygrawa. —

Prawda, ze tu łupy, cośmy im zabrali,
Psechodzą nase i skody i trudy,
I na cós sobie dały zabrać je te dudy?
A, kiej tchóze, niech cierpią, my pseto wygrali. —
Dziewuchy, niechaj psed nami
Bydło będzą, my z tyłu za niemi pójdziemy,
Bo, gdyby wej do bitki psysło z Krakowcami,
My się tu pierwej z niemi ucierać będziemy.
Kaj są nase kobiety? niechaj idą wpsodzie.

Morgal.

A wsyćkieć tam zostały pod górą psy tsodzie.

Bryndus *(oglądajac się.)*

Patsaj jak twoja Kaśka tryksa się z baranem.

Swistos.

A Zośka wej na wiezbę wlazła za cabanem.

Morgal.

A Małgośka za rogi pochwyciła byka,
O jakze ona skace! jakze on byś bryka!

Bryndus.

Łepsko się bawią dziewki.

Morgal.

Okrutnie kontente,
Bo tes to bydło ślicne, a kiejby się ostać
Mogło psy nas, tylko, ze te chłopy zawzięte,
Jak nas tu gdzie psysiędą.

Bryndus.

To ich będziem chłostać,
Wsak i my ręce mamy. — Ale cós to? cicho!
Jakiś tam chałas słychać.

Swistos.

Obac jeno z góry.

Morgal *(wybiega na pagórek.)*

Biada nam! Krakowiacy lecą, kieby chmury,
Oj! cós tes to tam tego.

(Ciąg dalszy nastąpi).